

All communications
must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.

565 Noble St

(CHICAGO, ILL.)

J. F. SMULSKI i Sp

wydawcy.



Wychodzi co czwartek

Kosztuje rocznie \$1.00
Abonenci Gazety Kato-
lickiej płacą tylko 50 c;
do Europy: z Gazetą
\$3.00, bez Gazety \$1.50.
Abonament musi być
naprzód opłacony. Po-
kwitowań nie oglasza
się. Gaz. Katolicka sa-
ma kosztuje \$2.00.

Rok XV.

CHICAGO, ILLINOIS, 11go LUTEGO 1897 ROKU.

Nr. 6.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ.— Czwartek 11 Lutego, Łazarza. Piątek 12 Lutego, Eulalii. Sobota 13 Lutego, Katarzyny. Niedziela 14 Lutego, Walentego. Poniedziałek 15 Lutego, Faustyna, Wtorek 16 Lutego, Julianny. Środa 17 Lutego, Donatusa.

Na Niedzielę Starozapustną.

Ewangelia św. Mateusza w rozdziale XX.

W owym czasie rzekł Jezus uczniom swoim to podobieństwo: Podobne jest królestwo niebieskie człowiekowi gospodarzowi, który wyszedł bardzo rano najmować robotników do winnicy swojej. A uczyniwszy umowę z robotnikami z grosza dziennego, posłał ich do winnicy swojej. I wyszedłszy około trzeciej godziny, ujrzał drugich stojących na rynku próżnujących, i rzekł im, idźcie i wy do winnicy, a co będzie sprawiedliwa, dam wam. A oni poszli. I znowu wyszedł około szóstej i dziewiątej godziny, i toż samo uczynił. A wyszedłszy około jedenastej znalazł innych stojących, i rzekł im: Co tu stoicie cały dzień próżnujący? Rzekli mu: iż nas nikt nie najął. Rzekł im: idźcie i wy do winnicy mojej. A gdy wieczór przyszedł, rzekł pan winnicy sprawcy swemu: zawołaj robotników i oddaj im zapłatę, poczynawszy od ostatnich aż do pierwszych. Gdy tedy przyszedli, którzy około jedenastej godziny byli przyszedli, wzięli po groszu. A przyszedłszy i pierwsi, mniemali, iżby więcej wzięść mieli, ale wzięli i oni po groszu. A wzięwszy, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: Ci ostateczni jedną godzinę robili, a uczyniłeś ich równymi nam, którzyśmy nieśli ciężar dnia i upalenia. A on odpowiadając jednemu z nich rzekł: Przyjacielu! nie czynię ci krzywdy. Czyliż się ze mną o grosz nie zgodziłeś? Weźmij co twego jest a idź, chcę też i temu ostatecznemu dać, jak i tobie. Czyli mi się nie godzi uczynić, co chcę? i czyli oko twoje złośliwe jest, iżem ja jest dobry? Takci ostateczni będą pierwszymi, a pierwsi ostatecznymi; albowiem wielu jest wezwanych, ale mało wybranych.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

CÓRKA STAREMBERGA.

Opowieść historyczna

z czasów oblężenia Wiednia przez Turków

napisał

Szczęśny Rogala.

Dokończenie.

Nikt nie spał tej pamiętnej nocy w obozie tureckim. Z ust do ust przechodziły zatrwajające wieści, ale największym postrachem było imię króla polskiego. Jedni twierdzili, że słyszeli od jeńców, co uciekli z obozu nieprzyjacielskiego, że już przybył na odsiecz Wiedeńczykom na czele niezliczonych hufców swej hussaryi i rot kozackich, inni, że widzieli go w płomieniach na Kalenberskiej górze.

Gdy tak pospólstwo obozowe rozsiewało postrach i trwogę, Kara Mustafa wezwał swoich wodzów na naradę wojenną, a oblicze jego nie zdradzało najmniejszej obawy.

— I czegoż bać się mam? — mówił — z tak potężną armią można zdobyć całą Europę, a cóż dopiero jedno miasto.

— Tak — odparł stary i doświadczony

Ibraim basza, którego Turcy uważali za największego wojownika — gdyby tam nie było tego „Iwa Lechistanu“, który umie mnożyć wojowników własnym zapalem, który sam staje za wojsko całe.

— Śmieję się stary — rzekł Kara Mustafa — nie przybędzie on tu walczyć z cesarskimi, kiedy sam cesarz ich tu odbiegł.

— Nie znasz go panie — rzekł starzec. Większa u niego nienawiść dla wyznawców proroka, od których broni wyginęli wszyscy jego przodkowie i większa żądza zemsty, a niżeli miłość własna.

— Nie lękam się go i ręczę ci, że i jego głowa, jak niegdyś głowa jego dziada, będzie zdobić bramy seraju.

— Oby słowa twe sprawdziły się — rzekł z powątpiewaniem stary Ibraim — a tymczasem objaw nam twą wolę, jak poczynać zamierzasz, aby jutrzejszy dzień nie klęskę, lecz chwałę nam przyniósł.

Podczas, gdy Kara Mustafa wraz z wodzami, układał plan bitwy na dzień następny, Joanna chodziła szybko po swoim namiocie. Po tylu dniach trwogi i beznadziejnego smutku, po ostatecznym ciosie, jaki jej zadało opowiadanie młodego jeńca, zabłysła jej nagle nadzieja. Ale któż mógł wiedzieć, jak rozstrzygnie się los jutrzejszej bitwy? Kto zwycięży? Czy ojciec i brat nie polegą w boju? Czy jej samej nie uwiozą Turcy?

Takie to myśli cisnęły się tłumnie do głowy biednej branki, gdy weszła do namiotu Zaira. Córka Staremberga przystąpiła do niej i zapytała:

— Powiedz mi, co tam słychać?

— Oj, źle bardzo — odparła stara Turczynka — będzie to jutro straszny dzień. Nie każdy z nas go przeżyje.

— Co się dzieje w obozie?

— W obozie ruch wielki.

— Czy ty widziałas już kiedy bitwę zblizka?

— Oj widziałam, widziałam i choć to już lat przeszło czterdzieści od tego czasu minęło, do dziś dnia pamiętam te straszne rzeczy.

— Kiedyż to było i gdzie?

— Albo ja wiem, byłam dzieckiem na on czas i nie pamiętam już ni rodziców, ni języka, jakim oni do mnie mówili, ale pamiętam pożar, jęki rannych, pamiętam, że razem z innymi dziećmi wsadzono mnie na wóz i do Stambułu zawieziono.

— Więc tyś nie Turczynka?

— A nie.

— Może byłaś jak i ja chrześcianką?

— Nie wiem panienko.

— I cóż z tobą zrobili?

— A cóż, oddali mię razem z innymi pod nadzór niewiast tureckich, a gdy urosłam, że to kiedyś piękną byłam, wziął mię wielki wezyr do haremu, a gdy zestarzałam się, zbrzydłam, zostałam sługą i pilnuję innych młodych i służę im, jak niegdyś mnie służono.

— Nie wesoła dola — szepnęła Joanna.

Na takiej pogawędce upłynęła im noc cała. Gdy dzień zaświtał, ruch się począł i gwar wielki; szeregi żołnierzy przechodziły raz po raz, komenderowano nimi, poprawiono okopy, ustawiano działa.

Ale do namiotu Joanny dochodziły tylko odgłosy gwarów, widzieć tych przygotowań ona nie mogła. Więc prosiła Zairy, żeby ją wyprowadziła w takie miejsce, skądby mogła zobaczyć, co się dzieje na polu bitwy.

— Boję się moje dziecko. Kara Mustafa nie żartowałby, ale odrazu na śmierć by mnie za nieposłuszeństwo skazał.

— Kto tam dziś nami troszczyć się będzie — przekładała jej Joanna — kto wie, czy dzisiejszego wieczora doczekamy, w tem za-

mieszaniu nikt nie spostrzeże, że my opuściliśmy nasz namiot na kilka godzin.

Zaira, która szczerze się przywiązała do Joanny, dała się w końcu ubłagać i znowu wyprowadziła ją przebraną jak wczoraj w szaty służebnej tureckiej niewiasty, z twarzą zasłoniętą, jak to zwykle u Turczynek.

Tak przebrana Joanna przeszła razem z Zairą wśród namiotów i nie zwróciwszy niczyjej uwagi, dostała się na wzgórze, skąd przyparta do ścian na prędcie wzniesionego meczetu, mogła widzieć co się działo na całej przestrzeni między tureckim obozem, a Kalenberską górą.

Słońce wydobywało się właśnie z poza pagórków i oświeciło jasnymi promieniami całą tę wielką przestrzeń. W obozie tureckim wrzał gwar i ruch, bo potężna armia muzułmańska, podzielona na dwa oddziały, miała uderzyć na chrześcian w dwóch przeciwnych kierunkach: jeden miał stawić czoło armii sprzymierzonej, przybywającej na ratunek, a drugi przypuścić ostateczny szturm do miasta. W chwili, gdy Joanna ze starą swą dozorczynią stanęły koło meczetu, usłyszano huk dział i moździerzy. Szturm więc rozpoczął się. Ale hrabia Staremburg stał już na murach gotów do obrony. Wiedział on, że ta chwila rozstrzyga o losach nie tylko monarchii austriackiej, ale i całej Europy, więc skupił wszystkie siły swego umysłu, ludzi i armaty wyruszył naprzeciw wroga. Joanna patrzyła na mury i widziała ojca kierującego obroną, widziała, jak rozsyłał rozkazy, jak wskazywał na obóz turecki, ale w tej chwili serce jej nie drżało ani o niego, ani o siebie — ona z zapartym oddechem śledziła przebiegu całej bitwy.

A tu z rozmaitych stron tureckiego obozu powoli, spokojnie wychodziły oddziały za oddziałami i skupiały się, łączyły z sobą, aż ustawiły się w długie skupione szeregi na całej linii bojowej. Zastępy te wiódł na jednym skrzydle stary Ibraim-basza begler

bey Budy, na drugim Kara Mehmed-Basza, a główne dowództwo objął sam Kara Mustafa. Ale tak zaufał swym siłom i szczęściu, że zamiast wyteżyć w tej chwili wszystką moc swego umysłu i działać sprężysto, on kazał rozbić wśród pierwszych szeregów swych zbrojnych zastępów, karmazynowy namiot i usiadłszy pod nim rozparty, z nargillą w ustach, wydawał rozkazy. Tak już był zgnuśniał wśród rozkoszy i zbytków, że nawet w tej stanowczej chwili obejść się bez nich nie umiał.

Zaledwie ustawiły się szeregi tureckie aż tu z za skalistego cyplu Kalenberskiej góry, wyłoniły się szeregi sprzymierzonych i zaczęły się spuszczać z tych gór dzikich w pięciu kolumnach, jakby pięć rwących potoków.

— Tamtędy — idą — zawołał Kara Mustafa — oszaleli chyba! Toż to nieprzystępna droga, oni tam zginąć muszą!

A równocześnie stary Ibraim basza szeptał sam do siebie:

— Nikt inny, tylko sam król polski ich wie, on jeden mieć może tak szalone pomysły i brać za nie odpowiedzialność.

A tymczasem ludzkie te fale spływały co raz niżej w takim porządku, jakby się toczyły po wygodnym łożysku, a nie szły z największym wysiłkiem po wąwozach, kamieniach i pniach zwa'onych. Pierwsze kolumny zatrzymywały się co sto kroków i oczekiwały na następne, których pochód wstrzymywały leśne i górskie zapory.

Kara Mustafa widząc to, rozkazał szybko sypać ziemny okop, ku powstrzymaniu tej ludzkiej fali, ale zapora ta wstrzymała tylko na chwilę chrześcijańskie wojska, które parły śmiało naprzód.

Załoga wiedeńska podniesiona widokiem tych nieustraszonych żadną przeszkodą zastępów, dokazywała na wyłomach cudów waleczności.

Tymczasem potok spływający z Kalen-

bergu płynął i płynął i tonął w wąwozach — ale znów się z nich wyłaniał i ustawiał w linię bojową na pagórkach panujących nad przedmieściami Wiednia. Lewem skrzydłem oparło się wojsko sprzymierzone o Dunaj, a w miarę jak na widownię występowwały nowe szyki, uzupełniało się wielkie półkole.

Naraz z piersi sprzymierzonych wyrwały się szalone, pełne entuzjazmu okrzyki. Joanna wyteżyła wzrok i ujrzała wojenne zastępy, jakich dotąd nie widziała nigdy. Okute w stal, lśniące błyszczącymi lancami, migające chorągiewkami, lecące z szumem skrzydeł i brawurą niepojętą na pole bitwy, odbijały silnie od stojącej murem szarej masy wojowników.

To widok tych lotnych, błyszczących rycerzy wywołał taki entuzjazm wśród sprzymierzonej armii niemieckiej i odbił się radosnym echem na murach Wiednia, a okrzyk: „Niech żyje król Jan Sobieski!“ rozlegał się wzdłuż całej linii od końca do końca.

Wśród tego okrzyku szło polskie rycerstwo pewne siebie, dumne, niecierpliwe, rwące się do boju, spragnione krwi pogańskiej, Joanna wpatrzyła się w nie, jak w cudowne zjawisko. Naraz jakiś błysk ją oślepił — to wszystkie kopie niesione dotąd w górę, spuściły się w dół i rycerstwo polskie wpadło na jazdę turecką, która prawie równocześnie pierzchać poczęła. A rycerze ci uniesieni zapalem, upojeni zwycięstwem, zapomnieli o grożącym wokół niebezpieczeństwie i wpadli w sam środek nieprzyjacielskiej armii. Już padł w boju młody Potocki syn kasztelana krakowskiego, podskarbi koronny Modrzewski i pułkownik Aswerus ale w tej chwili król, co nie spuszczał z oka żadnego ruchu swoich ni wrogów, pchnął im z pomocą księcia Waldeka z Bawarczykami, a wkrótce sam pospieszył na czele drugiej linii dragonów cesarskich. Teraz

już rozpoczęła się bitwa na całej linii, straszna, zacięta, rozstrzygająca, trwająca aż do zmroku.

Król polski był wszędzie i kierował i rozkazywał i walczył jak prosty żołnierz. Upojony chwilą, na którą czekał ród jego przez trzy pokolenia, zapomniał o sobie i był wszędzie, gdzie groziło największe niebezpieczeństwo.

A gdzie tylko błysła jego brylantowa kita, łuk i sajdak złocisty, gdzie zajaśniała tarcza wspaniała, którą osłaniał go wierny Matczyński, tam łamały się szeregi wrogów i pierzchały. A on parł i parł naprzód, łamał i druzgotał pyszną potęgę wroga, aż ujrzał czerwony namiot i pod nim siedzącego wraz synami Kara Mustafę. Na widok ten opanował go gniew wielki, rozkazał więc swoim opanować wyżynę wzniesioną nad namiotami wezyra. Na rozkaz ten hussarze królewicza Aleksandra, stojący na czele szwadronów, rzucili się naprzód z okrzykiem: „Boże błogosław Polsce“ i z rozpuszczonemi cugłami przelecieli przez wąwóz, a wdrapawszy się w cwał na górę, wpadli z spuszczonemi kopiami w szeregi nieprzyjacielskie, przerywając na dwie części szczyk bojowy. Niemcy patrzyli na nich zdumieni, a sławny wódz ówczesny, ksiązę lotaryński zawołał z zachwytem:

— Teraz pojmuję, że kto ma z sobą tę dumną milicję, ten klęski ponieść nie może. Gdyby same niebo spadało, oni by je wstrzymali grotami swych kopii!

Ale i król już nie panował nad sobą, wydał więc rozkazy księciu lotaryńskiemu, a sam rzucił się wprost na ten karmazynowy namiot. I szedł otoczony swemi skrzydłami chorągwiemi, górując nad innymi. Joanna patrzyła i oczu oderwać nie mogła od rycerskiej postaci tego króla, który swem bohaterkiem uniesieniem i urokiem imienia swego, budził siłę w swoich, a do rozpacz doprowadzał wroga. I tak wpadł w sam

środek obozu nieprzyjacielskiego, powtarzając wielkim głosem słowa króla proroka: „*Non nobis, non nobis, Domine exercituum sed nomini tuo des gloriam*“.

— Król jest z nimi! — zawołał Selim Geraj, który dopiero teraz uwierzył w obecność jego, a w tej samej chwili na niebie ukazało się zaćmienie księżyca i obie armie ujrzały na niebie bledniejący półksiężyc, godło wyznawców Islamu.

Teraz już nie było ratunku dla armii tureckiej, nikt nie słuchał rozkazów wodzów. Na tyłach armii rozpoczął się popłoch, każdy porywał co mógł, rabował namioty własnych wodzów, konie ze stajni i powstał zamęt, popłoch, ucieczka. — A ta fala odpływająca, porywała ze sobą wszystko, co napotkała po drodze. Joanna i Zaira wcisnęły się w zagłębienie meczetu nieraz całą siłą musiały się opierać, aby ich nie porwał ogólny prąd. Zaira płakała i rozpaczała, a Joanna choć przerażona tylu okropnościami, tryumfowała. Wśród cofających się ujrzały dwóch dostojników, jednym z nich był sam Kara-Mustafa, a drugim han krymski — ale teraz już i Zaira nie bała się zetknąć z nimi, bo i oni uciekali.

Dumny Kara-Mustafa stał teraz pokonany, przybity. Spojrzał na bogate swe namioty, na skarby w nich zgromadzone, a wiedząc, że ich już uwieźć ze sobą nie zdoła, bo pogoń by mu je odebrała, targał brodę, wyrzekał w bezsilnym gniewie i nagle przysła mu do głowy myśl piekielna.

Zawołał spahów stanowiących jego straż przyboczną i zawołał:

— Wyprowadzić mi przed namiot wszystkie niewiasty z haremu, wszystkie wielbłądy, słonie i całą wielką menażeryę, zgromadzić wszystkie dzieci w jassyr wzięte i wszystko mi tu pomordować w oczach moich, aby nic żywego nie wpadło w ręce wroga. A córkę wodza Niemców, przywieść mi tu do mego namiotu, niech nacieszę się

jej hańbą i sam wbiję miecz w jej pierś białą.

Przerażeni spahowie wyszli spełnić rozkaz a rozwścieklony Kara-Mustafa szepnął sam do siebie: „To jedyna moja zemsta, niech ten komendant wiedeński nie zazna całe życie radości, niech każde wspomnienie zwycięstwa przywodzi mu na myśl śmierć ukochanego dziecka, zamorduję ją i rozćwiartuję, a rozszarpane ciało odeszłę ojcu. To będzie zemsta“!

Gdy sługi Kara-Mustafy weszli do namiotu Joanny i zastali go pustym, nikt nie miał odwagi stanąć przed groźnym obliczem pana i oznajmić mu, że nie dozna dzisiaj nawet tej niskiej, brudnej pociechy, gdyż Joanna nie ma w namiocie, bo każdy wiedział, że zwiastuna tej wieści śmierć czeka. Rzucano się więc na poszukiwanie Zairy, gdyż ona to, jako dozorczydni młodej branki, powinna była odpokutować za jej ucieczkę.

Tymczasem wieść o strasznym rozkazie Kara-Mustafy obiegła już cały obóz turecki. Nieszczęśliwe kobiety z seraju, wczoraj odpływające we wszystkie rozkosze, a dziś jednym słowem swego władcy na śmierć skazane, biedne branki, które przed chwilą radowały się tryumfem chrześcian i nadzieją wolności, przerażone dzieci chrześcijańskie, błagały o litość Turków, obiecując im wyjednać życie i wolność u swych rodaków, inne znów kryły się po opuszczonych namiotach, wśród magazynów, wozów, zapasów okopowych. Ale zaledwie mała część zdołała się uratować.

Właśnie jakiś wyrostek, który zdołał umknąć straży, nadbiegł, aby ukryć się w meczecie, do którego przytulone stały dwie niewiasty, Joanna ze swą dozorczynią.

— Zmiłujcie się, ukryjcie mnie — zawołał chłopak po niemiecku.

— Przed kim uciekasz? — zapytała Joanna.

— Przed śmiercią. Wielki wezyr kazał pozabijać wszystkich jeńców.

Joanna drgnęła. Zginać, zginać teraz, kiedy za chwilę miała być wolna, to straszne! Zwróciła się więc do Zairy i zawołała:

— Ratuj mnie! ojciec mój obdarzy cię skarbami, a ja troskliwą opieką, iż odtąd życie twe będzie upływać w szczęściu i dostatkach.

W tej samej chwili nadbiegli sługi Kara-Mustafy, a poznawszy dozorczynię Joanny, zawołali:

— Gdzie podziałas córke wodza Niemców? Kara-Mustafa kazał ją przywieść przed siebie.

— Właśnie szukam jej, bo mi zginęła wśród ogólnego popłochu — rzekła Zaira.

— A to co za niewiasta? — zapytali wysłańcy, wskazując na Joannę.

— Szuka razem ze mną córki wodza Germanów.

— To i ją trzeba zaprowadzić na miejsce stracenia.

— Dajcie jej pokój, starsza odemnie i niedołęzniejsza, nie pocieszy się nią ani chrześcianin, ani wierny wyznawca proroka.

To mówiąc, odeszła razem ze sługami wezyra, a Joanna wraz z chłopcem została pod osłoną nocy i meczetu, niepewna każdej chwili, bo któż tej nocy mógł się czuć bezpiecznym w obrębie tureckiego obozu.

Równocześnie Zaira stanęła przed swym panem.

— Gdzie córka wodza germańskiego — krzyknął, trzęsąc się z gniewu Kara Mustafa, ujrzawszy starą.

— Nie wiem panie — odparła, na twarz padając — zniknęła mi w ogólnym popłochu.

— Ja muszę ją mieć, zaraz mi ją oddaj. Zaira milczała, spuściwszy głowę w poroze.

— Na śmierć z nią! — krzyknął wielki wezyr wskazując Zairę.

— Litości panie! — zawołała biedna

kobieta — byłam ci wierną żoną, a potem służą życie całe.

— Precz — krzyknął Kara-Mustafa i kopnął ją tak silnie nogą w skroń, że biedna kobieta zatoczyła się i upadła nieprzytomna.

— Dobić ją! — zabrzmiał rozkaz, który też spełniono niezwłocznie.

Tak się rozpoczęła straszna rzeź kobiet i dzieci, którą w dniu wielkiego zwycięstwa chrześcian pod Wiedniem w bezsilnej swej zemście dokonał Kara-Mustafa.

A wśród krzyków i jęków mordowanych ofiar, Kara-Mustafa dosiadł konia i na czele swoich janczarów wysunął się z obozu, zostawiając poza sobą ogromne skarby, bo ich ani zabrać, ani wymordować, jak ludzi nie mógł. A któredy przechodziły niedobitki jego armii, tam zostawiały za sobą ślad zniszczenia, bo uciekający Turcy podkładali umyślnie zarzewie i w ten sposób znaczyli swą ucieczkę śladem krwawych płomieni.

W obozie tureckim panowała cisza, wojsko umknęło, a dzieci, niewiasty i jeńcy, co zdołali uratować się podczas rzezi i ucieczki, kryli się pod namiotami, wozami, w rowach i nikt nie śmiał wyrzeć z kryjówki, z obawy, czy Turcy nie urządzili zasadzki. — Nawet sam Sobieski nie pozwolił wojskom swym nocy tej wejść do obozu tureckiego, ale legł pod dębem i tam przepędził noc po najślawniejszym swym zwycięstwie. Naraz stała się rzecz dziwna, huk zatrważający przeraził zwyciężkie wojsko i mieszkańców Wiednia. Król, książęta, żołnierze, mieszczanie, wszystko to stanęło w osłupieniu i patrzyło w ciemne, zmieszane z dymem krwawe blaski, wznoszące się ku niebiosom. Z początku myśleli zwycięzcy, że to Turcy uciekając, podłożyli miny pod własny obóz, aby wysadzić go w powietrze, ale później pokazało się, że nie Turcy, lecz żołnierze polscy zapalili prochy i taką salwę urządzili na znak zwycięstwa.

Gdy blaski zagasły a dymy opadły, in-

ne światło oświeciło krwawe te pola; nad pobożowiskiem wzeszło słońce, co jak król polski moc nieprzyjacielską, rozpędziło cienie i łuny tej wielkiej nocy.

Zaroiło się w obozie tureckim od tłumy zwyciężkich żołnierzy i Wiedeńczyków. Każdy szukał tam zdobyczy, a było jej tak wiele, że nie brakło nikomu. Wszak sam obóz wezyra był tak wielki, „jako Lwów w swoich murach“. Zgłodzeni mieszkańcy Wiednia znaleźli ogromne zapasy żywności, całe stada bydła, wory mąki, kawy, bakalie; zubożeli wskutek oblężenia, znachodzili pieniądze i nieprzebrane skarby skór, futer, żelaza, broni i kosztowności.

Pomiędzy szukającymi łupu, wyszedł i biskup Kolonitz, ale choć chodził od namiotu do namiotu, choć często u stóp jego leżały kosztowne bronie i sprzęty, ręce jego były próżne, on nie schylił się po żaden klejnot, ale za to otaczała go coraz liczniejsza gromadka dziatwy, bo on chodził pomiędzy namioty, wozy, fosy, nasypy i szukał dzieci, które ukryć się zdołały przed wczorajszą rzezią.

Gdy tak przechodził pomiędzy namiotami, ujrzał klęczącego niedaleko gruzów rozwalonego meczetu chłopczynę, który widocznie był czemś zajęty i schylał się nad jakąś Turczynką, leżącą na ziemi.

— Wstań — mówił chłopiec — Turków już nie ma, pójdziemy do miasta.

— Nie mogę — odpowiedziała Turczynka po niemiecku głosem słabym, ledwie do słyszonym.

Chłopczyna usiłował ratować leżącą, ale siły jego były za słabe, a gdy tak wyteżał wszystką moc, aby ją choć posadzić na ziemi, biskup idący na czele gromady dzieci, zbliżył się do niego.

— Co tu robisz? — zapytał go.

Chłopak zamiast odpowiedzi, zawołał:

— Pomóżcie mi ją uratować boję się, że zginie tutaj, bo już sił nie ma podnieść się.

— Cóż to się stało tej kobiecie? — pytał dalej biskup.

— To branka turecka, wczoraj uciekła z namiotu, cały dzień i noc nic nie jadła; słudzy Kara-Mustafy szukali jej, w śmiertelnej trwodze przebyła noc całą, drżąc z obawy, aby jej nie znaleziono, bo Kara-Mustafa chciał ją zamordować własną ręką. Ukrywaliśmy się noc całą, uciekając z miejsca, na miejsce, aż gdy żołnierze wysadzili prochy w powietrze, ona wyczerpana zupełnie, upadła bez przytomności. Co ją ocucę z omdlenia, zapada w nie znowu — daremnie prosiłem dla niej o pomoc, każdy zajęty chwytaniem łupów, ani patrzeć na nią nie chce. Ratujcie ją ojcze!

Prałat pochylił się nad leżącą niewiastą, ona podniosła powieki, wpatrzyła się nawpół błędnym wzrokiem w schylonego nad nią biskupa i zawołała.

— Ojcze!

Kolonitz szybko usunął z jej twarzy turecką zasłonę i ujrzał bladą, zmęczoną i wychudzoną twarz Joanny.

— Dziecko moje! — zawołał — a my już z ojcem i bratem oplakaliśmy ciebie i mieli za straconą na zawsze.

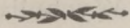
Ale Joanna słów tych już nie słyszała, bo wyczerpana tyłu trudami, głodem, trwożą, nie miała siły znieść jeszcze szczęścia — omdlała na nowo. Biskup kazał najsilniejszym chłopcom, co go otaczali, przysposobić na prędcie nosze, sam zaś wlał wina w usta omdlałej, a przyprowadziwszy ją do przytomności, złożył przy pomocy wyrostków na noszach. Chłopcy wzięli ją na ramiona i tak postępował ten dziwny orszak do miasta.

Pięćset dzieci uratował biskup Kolonitz i założył dla nich dom przytułku we Wiedniu, a dzielny Staremborg uszczęśliwiony odnalezieniem córki, ofiarował nań sto tysięcy talarów, które mu wyznaczono, jako należny mu łup wojenny.



Powrót dzwonów z Rzymu.

„Co tu stoicie cały dzień próznujący?”



Gdyby i teraz, chrześciane, przybył ten gospodarz ewangeliczny do miasteczek i wiosek naszych, znalazłby nietylko do 11-ej godziny próznujących, ale dni, miesiące i lata na niczem trwających; znalazłby ludzi, którzy po całym dniu w próżniactwie przepędzonym, zaledwie by sobie powiedzieć mogli, iż coś dobrego pomyśleli lub uczynili. Nie potrzebaby gospodarzowi ewangelicznemu szukać po rynkach i ulicach, próznujących, boby ich daleko więcej znalazł po domach przy zabawach, odwiedzinach, a cóżby mu na ten czas powiedzieli? Może to, co dzisiaj najemnicy ewangeliczni: „Nikt nas nie najął do winnicy swojej“. Kiedy ci innych do pracy najmują, a czyżby się wymówić mogli, że pracować nie mogą? Kiedy im po temu Bóg sił i zdrowia użył, nie pomogłaby im żadna wymówka, bo żyjąc w próżniactwie, na złe używają czasu. Gospodarz bowiem ewangeliczny nie jest to inny, jak sam Bóg, który nas posłał do winnicy tego świata, byśmy na chwałę Jego, na zbawienie duszy naszej i bliźnich naszych pracowali. Nie chodzi On teraz wprawdzie od domu do domu, ani się pyta: „cóż tu stoicie cały dzień próznujący?“ ale przyjdzie z pewnością i zapyta się, jakośmy używali pozwolonego nam czasu, i obrachuje się z każdej minuty z nami, czyśmy ją na dobre użyli. Dla tego przypomnijmy sobie obowiązek na dniu dzisiejszym, żeśmy na dobre używać powinni czasu, a to w części pierwszej.

Jak go zaś używać mamy, nauczymy się w części drugiej.

1. Gdyby to człowiek przynajmniej pół wieczności na ziemi przepędził, mogłoby nam przyjść do myśli: trzeba się ubawić, ucieszyć, upróźnować, bo jeszcze dosyć wystarczy czasu na zbawienie duszy, ale kiedy tu żyje

siedmdziesiąt, ośmdziesiąt, a najwięcej sto kilka lat, jakże tu każdej minuty dla zbawienia nie używać? Cóż to jest, chrześciane, sto lat z całej wieczności? Ani tyle nazwać nie można, jak sto kropel wody z całego morza. Pięćdziesiąt i ośmdziesiąt lat upłyną jak jedna chwila, a jeżeli tej chwili, której nam Bóg do życia użył na dobre nie użyjemy, zginęliśmy na zawsze!

Ale może ci szkoda siły i urody, człowiecze! Chcesz się zaszanować na dalej, abyś dłużej żył, dla tego nie chcesz używać na dobre czasu twego. Nie lękaj się tego, mylisz się bardzo, będziesz miał i na spoczynek dosyć czasu; ciało twoje do dnia sądnego, jak nas wiara zapewnia, spoczywać będzie; i ty tu jeszcze w próżniactwie na ziemi gnuśnić i spoczywać zechcesz? Nie widzisz, iż cała ziemia cię twojemu nie długi zostawi spoczynek, ale go pożre, powierci, by wszystkie z niego wyssała soki, któreś zabrał z pokarmów, napojów, ażeby następnym po nim pokoleniom nowy ze siebie wydała pożytek. — Kiedy nas więc Bóg na tak krótką robotę przeznaczył do winnicy Swojej, i tak krótki czas życia naszemu wytknął, tem bardziej czasu na dobre używać powinniśmy.

Chcecie jeszcze przyczyny ważniejszej, dla czegoście na dobre czasu używać powinni? Posłuchajcież, a powiem wam otwarcie. Oto od używania czasu szczęście wasze tak doczesne jak wieczne zawisło. Kto pracowity, trzeźwy, zapobiegliwy, każdej chwili używa na dobre, sami przyznacie, nie źle mu się powodzi, sami mu dopomagacie, i szczerze go miłujecie. Pracowity gospodarz, gdy w czasie obrobi rolę, zastaje i pobiera, jeżeli Bóg zachowa od gradów, powodzi, wylewów lub innych nieszczęść, ma czem siebie, żonę, dziatki i służących wyżywić. Majster pracowity i rzetelny, nie jest bez kawałka chleba, bo każdy jemu powierzy robotę, gdyż w czasie, uczciwie, nie obciągnąwszy

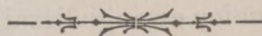
zanadto, bez skazy zrobi; przeciwnie patrzcie na próżniaków, jak czarne po nich łachmany wiszą, co się głodu i nędzy nacierpią: nie ja, lecz ich nieroztropność w używaniu czasu, niech do was przemówi.

Cóż powiedzieć o szczęściu wiecznym, które to od użycia na dobre czasu zawisło; ten bowiem, który używa na dobre czasu, wypełnia przykazania pańskie, kto zaś wypełnia przykazania pańskie za tym idzie szczęście wieczne. Dla tego upominał Jezus: „Chodźcie póki światłość macie, żeby was ciemności nie ogarnęły“ (Jan 12, 35); to jest: uwierzcie we mnie, dokąd wam czasu i życia pozwalam, bo potem, choćbyście chcieli, zapóźno będzie.“ Dla tego i Paweł św. upomina: „Oto teraz czas przyjemny, oto teraz dzień zbawienia!“ (2 Kor. 6, 2.) A kiedyż to dla nas jest dzień zbawienia, a kiedyż dzień przyjemniejszy, jak nie ten, w którym żyjemy? Mówi bowiem św. Hieronim: „Nie mów, że czasy przeszłe były lepsze jak terażniejsze, cnoty tylko robią czasy dobre, a występki złe!“

Nie myślcie sobie, że ja was tylko pobudzam do używania na dobre czasu, bo na cokolwiek spojrzycie, wszystko przemówi do was, byście z każdej kropli czasu na zbawienie wasze korzystali. Wyjdiesz na pole człowiecze, i staniesz cokolwiek, niechże ci i ten czas na darmo nie upływa: spojrzysz na ptaki, jak śpiewają, kręcą się, latają, zbierają żer, pełnią przeznaczenie swoje; spojrzysz na zwierzęta, na robaczki, a ujrzysz, jak każde zwierzątko, każdy robaczek używa chwili, którą mu Opatrzność udzieliła. Siędziesz nad rzeką, przypatrz się, jak ta płynie, a płynąc upomina cię, byś tam długo nie siedział, ale wstał, pracował i używaniem na dobre czasu, płynął do wieczności. Spuszczasz noc swoje ciemności, i temi ciebie się zapytuje: Człowiecze, wieleżś upracował za dnia, jakżeś używał czasu, byś się teraz mógł godnie położyć na spoczynek? Wsta-

je słońce na niebie, rozdziera promieniami swemi powieki twoje, budzi cię, byś i ty wstał i z każdej dnia chwili na zbawienie swoje korzystał. Wychylisz głowę do ogrodu, słyszysz brzęczącą pszczołę, przypatrz się jej, jak skwapliwie z różno-barwnych kwiatów wyciąga miodowe soki, i naucz się tak z każdej minuty na zbawienie twoje korzystać. Przypatrz się nareszcie mrowisku, a te robaczki nierozumne nauczą cię jako rozumnego człowieka, jak masz ciężary czasu i utrapień dźwigać, by ci wyszły na zbawienie. — Znali to mędrcomie świata, albowiem, gdy który z nich co dobrego w dzień nie uczynił, boleśnie pod wieczór wykrzyknął: Przyjaciele! dzień utraciłem.

Dokończenie nastąpi.



Pielgrzymka dzwonów do Rzymu.

Legenda o pielgrzymce dzwonów do Rzymu należy do najpiękniejszych podań ludowych odnoszących się do Wielkiego Tygodnia. Gdy od Wielkiego Czwartku aż do Wielkiej Soboty głos dzwonów ucichnie, wtedy w podaniu ludowym nazywa się, że dzwony udały się na pielgrzymkę do Rzymu; ponieważ Pan umarł, przeto pobiegły do Namiestnika Jego, ażeby wziąć udział w wzniosłych uroczystościach Wielkiego Tygodnia, ażeby czynić pokutę za opieszałość w służbie Bożej i otrzymać błogosławieństwo, które Ojciec św. udziela „urbi et orbi“ (miastu i całemu światu). Wracając z Rzymu roznoszą one obfitość otrzymanego błogosławieństwa, ażeby później dźwięcznym brzmieniem zmartwychwstanie Pana Jezusa ogłosić. — Nasza rycina przedstawia właśnie to podanie ludowe. Malcy posłyszawszy je od starszych, pilnie nad słuchują, czy też ukochane dzwony niedługo nie powrócą. Ich żywa fantazyja pokazuje im je, jak w obłokach spiesznie wracają do swych kościołków.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronomie poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczac będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dźiatwę kochaną, aby po Bogu nade wszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

SYN ODZYSKANY.

Obrazek z życia ludu.

I.

Antoni był zamożnym gospodarzem, a dla prawego charakteru szanowali go i lubili wszyscy sąsiedzi. Miał żonę i synka Michała, który był największą jego pociechą. Antoni kochał go nad życie i spodziewał się w nim kiedyś mieć podporę swojej starości. Lecz radość jego przemieniła się wkrótce w ciężki smutek.

Gdy Michałek miał lat pięć, nadjechali cyganie i rozłożyli się taborem za wsią. Stara cyganka, która chodziła po chatach wróżyć i kradła, co się tylko dało, zobaczyła go, a ponieważ podobał się jej bardzo, postanowiła go wykraść. Udało się to jej bardzo łatwo, gdyż zwabiła go do siebie łakociami, gdy bawił się na podwórzu. Tego samego dnia odjechali cyganie ze wsi wraz z Michałkiem.

II.

Rodzicie pomyśleli początkowo, że Michałek poszedł do chaty którego z sąsiadów, nie obawiali się, gdyż to się bardzo często zdarzało, jednak gdy po kilku godzinach nie wracał, poczęli się niepokoić.

Pytali się u sąsiadów, wysyłali parobka, szukali po całej wsi, lecz napróżno. Wówczas domyślili się, że Michałka cyganie ukradli, lecz ciągle jeszcze wątpili o tem, ciągle go oczekiwali. Niestety co chwila nadzieja zmniejszała się i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Michałek stał się łupem cyganów. Widocznie dobrą porę wybrała cyganka do uprowadzenia Michałka, gdyż nikt z sąsiadów tego nie zauważył.

Rozpacz rodziców nie miała granic, na próżno starali się sąsiedzi uspokajać ich. Żyli oni w cichym smutku i zdawało się, że nic już w życiu nie zdoła ich pocieszyć. Rozpacz po dłuższym czasie ustąpiła miejsca głębokiemu smutkowi i w tym stanie przeżyli lat kilka. Z czasem, gdy zacierały się wspomnienia, smutek ich zmniejszał się, nigdy atoli nie zdołali zapomnieć zupełnie o stracie ukochanego syna.

III.

Minęło lat dwadzieścia. Antoni z młodego silnego chłopca stał się niemal zgrzybiałym starcem, jakkolwiek miał nie wiele więcej lat nad czterdzieści. Oblicze jego łagodne wskutek doznanych w życiu trosk nosiło na sobie piętno smutku i zmartwienia w postaci licznych zmarszczek i brózd. Żona jego również zestarzała się przedwcześnie. Gospodarstwo nie szło im tak dobrze jak dawniej, zawsze jednak byli jeszcze dość zamożnymi.

Pewnego dnia — było to właśnie 20 sierpnia, w rocznicę, gdy Michałek został wykradziony, siedział Antoni z żoną przy stole smutnie i rozmawiał z nią o Michałku, a dwie łzy jak dwie krople rosy potoczyły się po jego ogorzałym obliczu. Czas nie zdołał wyrwać miłości z rodzicielskiego serca. Może nas Bóg jeszcze pocieszy, rzekła do niego żona nie mniej smutna. Nie ma najmniejszej nadziei — odparł Antoni. Nagle dało się słyszeć szczekanie wiernego Burka, a po chwili kołatanie do drzwi. Antoni podniósł się leniwie z ławy, aby otworzyć. Do izby wszedł młody porządnie ubrany mężczyzna, lat około dwudziestu pięciu.

IV.

Zaledwie młody człowiek przestąpił próg chaty, wydarł się z piersi ojcowskiej o krzyk radości: „Mój syn!“ „Mój ojciec i moja matka najdroższa“ zawtórował syn, a więc mam was znowu. Pamiętam Was, a to już tak dawno. Te i tym podobne okrzyki dały się słyszeć w chacie. Powitaniom nie było końca. Po chwili usiadł i zaczął opowiadać wszystko, co przeżył od chwili wykradzenia, pamiętał wszystko jak najdoskonalej jakkolwiek wówczas był małym chłopcem pięcioletnim. Wyszedszy za stodołę — mówił — pobawić się, gdy zobaczyłem starą cygankę, która mile na mnie patrząc dała mi piernika i cukierków, prosząc, bym z nią poszedł do taboru i obiecując tam dać więcej. Bez namysłu usłuchałem jej. Szliśmy dość długo, aż doszliśmy do obozu. Wkrótce potem cyganie zaczęły składać namioty i układać je na wóz, w końcu sami wsiedli na wozy i w szybkim pędzie odjechali; ja siedziałem w pośrodku woza obok cyganki. Gdy ruszyliśmy z miejsca, dziwna bojaźń ogarnęła mnie. Cyganka pocieszała mnie, że dostanę cukierków, jednak to nic nie pomogło; zacząłem płakać. W ówczas cyganka uderzyła mnie, a ja jeszcze bardziej płakałem. Później musiałem zasnąć, gdyż było to wieczorem, a gdy obudziłem się, już dniało. Cyganie zapalili ognisko, konie odprzęgli od wozów i gotowali jakąś lichą strawę, z której i mnie udzielili. Była bardzo niesmaczna, jednak jadłem, bo byłem głodny. Jechaliśmy przez kilka dni, a w mej dziecięcej głowie zaczęła kiełkować myśl ucieczki. Staaliśmy w ogromnym borze, wówczas ja korzystając z chwilowej nieuwagi cyganów, zacząłem iść w gęstwinę sam nie wiedząc dokąd. Jak długo szedłem, nie wiem, las zaczął się przerzedzać, wtedy wyszedłem na jakąś dość znaczną górę i z tamtąd widziałem dokładnie drogę. Po niej jechały pędem wozy cyganów. Czulem się

bezpieczniej, widząc mych wrogów odjeżdżających, spojrzałem w drugą stronę i zobaczyłem w oddali ogromne masy domów i wieżyc. Poznałem, że to musi być jakieś bardzo wielkie miasto i postanowiłem się tam udać. Jako małe dziecko nie wiedziałem, którędy wydostać się z lasu, jednak Opatrzność Bozka czuwała widocznie nademną, gdyż jeszcze za dnia wyszedłem z lasu i znalazłem się na tej drodze, która prowadziła do stolicy. (To miasto, które widziałem z góry, była to właśnie stolica). Szedłem bez ustanku; choć noc zapadała, nie bałem się, było bowiem widno, bo tej nocy właśnie była pełnia, a księżyc oświecał jasno całą okolicę. Nad ranem po większym ruchu na gościńcu poznałem, że stolica już blisko. I w samej rzeczy tak było.

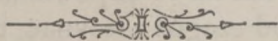
Olśniony widokiem ruchu wspaniałych kamienic i ulic, przechadzałem się po ulicach, nie zważając na głód i znużenie. Wtem spostrzegła mnie jakaś mieszczka i zapytała mnie, z kąd idę. Jej łagodny ton mowy wzbudził we mnie zaufanie, opowiedziałem więc jej wszystko. Wówczas ona rzekła do mnie: „Biedne dziecko, nie dam ci tutaj zmarnieć na bruku wielkomiejskim, wezmę cię do domu i będę wychowywała jak swego, nie mam własnych dzieci, więc ty mi wynagrodzisz ten brak.“

Było mi u niej bardzo dobrze, ona i jej mąż kochali mnie jak swego — mimo to tęskniłem za wami, najdrożsi rodzice. — Nie wiedziałem jednak, jak się wieś nasza nazywała i swoje nazwisko zapomniałem, nie miałem więc nadziei was kiedyś zobaczyć. Gdy podrosłem, posyłali mnie do szkoły, a później do ogromnej fabryki, gdzie zostałem robotnikiem. Zarządca polubił mnie bardzo, i tam przed dwoma laty podwojono mi płacę, używając do robót trudniejszych, i na tem stanowisku jestem dotąd. Przed kilku dniami otrzymała fabryka polecenie dostawienia swoich wyrobów do blizkiego ztąd

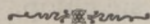
miasteczka i wysłała mnie w tej sprawie tam. Jechałem koleją, ale że do samego miasteczka nie ma kolei, wsiadłem na furę, aby tym sposobem dostać się do celu podróży, i w drodze poznałem naszą wieś, kościółek, do którego z matką jako dziecko chodziłem, naszą chatę i wszedłem do niej bez namysłu.

Tu skończył Michał głęboko wzruszony swe opowiadanie. Łzy radości spłynęły po obliczu rodziców. Opanowawszy wzruszenie, rzekł Antoni: „A teraz synu i żono wraz ze mną padnijmy na kolana i dziękujmy Bogu, że nam pozwolił doczekać tej radości.“

Uklękli i modlili się długo, a modlitwa ich płynęła w górę, prosto przed tron Najwyższego. (Z „G. śc. Niedzielnego“.)



CYGANKA.



Dokończenie.

Czempredzej sposobiono się do podróży, aby jechać razem z księdzem, który im przywiózł radosną nowinę.

Podróż zdawała im się zbyt długą i powolną. Lotem ptaka chcieli być przy dziecku swoim, aby je przycisnąć do serca.

Po dwóch dniach stanęli wreszcie u celu swej podróży. Dziewczynka, uprzedzona w pierw przez proboszcza, kogo jej z dalekiej drogi przywozi, witała nieznanych rodziców, a ci rzeczywiście w jasnowłosej o niebieskich, jak niebo, oczach Hani swoją utraconą Anulkę poznali.

Pieścili swoją jedynaczkę, wypytywali o szczegóły jej życia, litując się nad niedostatkiem, jakiego nieraz doznawała. W uniesieniu radości w chwili obecnej i szczęścia z odzyskanej, ukochanej córki zlorzeczyli cygancę za krzywdę im wyrządzoną. Ojciec Anulki, modląc się na jej grobie, pro-

sił, by mu darowała czyn nieludzki, jakiego względem niej się dopuścił.

W parę dni potem Anulka, szczęśliwa z odzyskania rodziców, opuszczała dom ojca mego, dziękując w serdecznych słowach tak nam, jak i zacnemu proboszczowi, za zajęcie się jej losem.

V.

I znów upłynęło lat kilka. Anulka, ukończywszy nauki, wyrosła na piękną pannę. Rodzice jej na podziękowanie Bogu za odnalezienie jedynaczki, założyli w swoim majątku ochronkę dla biednych dzieci. Anulka prawdziwą tego zakładu była opiekunką. Ona do swej ochronki z całej okolicy a nawet i dalszych stron przytulała sieroty i opuszczoną małą dziatwę, mając do pomocy na ten cel wziętą nauczycielkę, sama wspólnie z nią pracowała, uczyła dzieci, szyła dla nich sukienki i bieliznę.

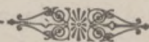
Niejedną łezkę sierocą otarła i gorzką dolę osłodziła swoją anielską dobrocią i łagodnym obejściem z sierotami.

Robiła to tem chętniej, że przypominała sobie swoje lata dziecięce, wiedziała z własnego doświadczenia, ile to biedne dzieci wycierpieć nieraz muszą nędzy i głodu.

Tak więc Anulka w piękny i szlachetny sposób umiała życie swoje zapełnić. Nie wdychała za świetnymi strojami i zabawami, znajdując największe upodobanie w czytaniu dobrze biednym.

Lud wiejski całej okolicy wielbił też liłościwą panienkę, nazywając ją powszechnie opiekunką sierot.

Ewa Przeclawska.



BZIK.

Pewien chłop miał syna jedynaka, którego bardzo pieścił; zabraniał mu roboty w domu, zakazywał pasania bydła. Oddał go

do szkoły, ale nauka mu nie szła sama do głowy, a ojciec nie napędzał chłopca do książki.

Kiedy synalek podrósł, pomyślał sobie ojciec:—Do roli już nie obrócę mego dziecka, bo za delikatny, a kiedy go się książka nie bierze, to niechaj będzie kowalem, bo to rzecz łatwiejsza i głowy sobie nie naturbuje myślami. — Kiedy tak pomyślał, poszedł zaraz do kowala na drugą wieś i powiedział mu: — Przyszedłem do was panie majstrze, żebyście wzięli mojego syna do nauki kowalskiej. Zapłacę wam za to dobrze, tylko żebyście mi dziecka nie mitrężyli po próżnicy. Niech się tylko patrzy na robotę waszą, to on i tak pojmie wszystko, bo to chłopak sprytny, i jak tylko co zobaczy, to zaraz sam robi.

Kowal się zdumiał, co chłop wygaduje i zaczął mu przekładać, że jak chłopak nie przyłoży ręki i nie pomyśli głową, to tylko czas traci.

Ale mu chłop na to:

— Już to moja rzecz, panie majstrze; wiem ja dobrze jaki to pojętny chłopak. Tylko go weźcie do siebie na naukę, ja wam zapłacę, a dobry z niego będzie kowal. Na co się ma patrzeć chudzina przy kominie, kiedy by to było tylko dla waszego zysku.

Kowal nie przeparał chłopca i stanęła ugodą na tem, że się chłopak będzie uczył patrzeniem. Kowal przy zgodzie wymówił sobie jeszcze, żeby chłop przyniósł duży kosz. Jak chłop przyniósł kosz i przyprowadził syna, kowal wbił wielki gwóźdź w ścianę, powiesił na nim kosz i wsadził w niego chłopaka.

Robota w kuźni szła z dnia na dzień: kowal kuł gwoździe, siekiery, obręcze na koła, podkowy i różne rzeczy, a chłopak co dzień patrzył się z kosza na tę robotę, żeby się wyuczyć wszystkiego.

Ludzie co przychodzili do kuźni, za boki się brali ze śmiechu, że chłopu taki po-

mysł do głowy przyszedł. Ale ani śmiechy, ani gadania ludzkie nic go nie przekonały. Czasem tylko jak zajrzał sam do kuźni, to mawiał do syna:

— Patrzajże się! a patrzaj dobrze chłopcze, żebyś żadnej roboty nie opuścił, żebyś się każdej nauczył dobrze.

A synal mu odpowiedział.

— Już się nie bójcie tatusiu o mnie; patrzę ja się dobrze i wszystko zrobię jeszcze lepiej od majstra, jak pójdę na swoje.

Kiedy tak się chłopak w koszu wysiedzia, może z kilkanaście miesięcy, przyszedł ojciec po niego, podziękował i rzetelnie zapłacił kowalowi za patrzenie synowskie. Jak przyszedli do domu, ojciec zapytał syna:

— A od czego mam zacząć synu?

A syn mu na to odpowiedział:

— A od czegoż zaczynać tatusiu, jeno trzeba kupić kowadło, młot, cęgi, miech i żelaza na robotę.

Uśmiechnął się chłop, że ma takiego mądrego syna i nakupił mu wszystkiego, czego syn żądał. Kiedy wszystko było gotowe i ustawione, synal zapytał ojca:

— A co wam zrobić tatusiu naprzód?

A zrób siekiereę na początek, bo stara się całkiem stępiła, że jej i nie naostrzysz.

— Dobrze tatusiu, to wam zrobię siekiereę, powiedział syn.

Wzięli się we dwóch do roboty. Ojciec ruszał miechem, syn obracał żelazo w ogniu, a potem kuł i kuł. Ale żelazo za dużo się przepaliło, więc synal ozwał się do ojca:

— Wiecie tatusiu, że tego żelaza nie wystarcza na siekiereę, chyba zrobić toporek?

— A zrób toporek, — powiedział ojciec. — Przyda się do lasu na gałęzie.

Znowu chłopak trzymał żelazo w ogniu, a potem kuł zapalczywie. Ale na toporek żelaza mu nie wystarczyło. Więc powiada do ojca:

— I toporka nie będzie z tego żelaza: możeby wam zrobić nóż?

— Przyda się i nóż, — powiedział ojciec.

Synał robił nóż, ale i na to mu było za mało żelaza. Rozgniewał się, że mu się tak ciągle przepala, zawołał tedy w złości:

— Nic innego nie da się zrobić z tego, jeno musi być kozik!

— Rób kozik synku.

Chłopak palił jeszcze żelazo, wyjął z ognia i kuł na kowadle ostatni kawałek, ale kozika z niego być nie mogło. Przyszła mu wtedy sztuczka do głowy i w uśmiechu przemówił do ojca:

— Najlepiej ja wam taką rzecz zrobię, tatusiu, że się uśmiejecie.

— A jaką? — zapytał ojciec.

— Poruszajcie jeno miechem i podstaw-

cie szaflik z wodą, a zrobię wam *bzik*.

Ojciec ciekawy tego *bzika*, poruszał miechem, szaflik przystawił, a synał wyjął rozpalone zdziebło żelaza i wrzucił w wodę. Woda zasyczała, a on zawołał:

— Bz...z...i.k!

Chłop się zawstydził z tego wydarzenia, a cała wieś potem inaczej go nie nazywała, jeno *Bzikiem*. I tak mu tem dokuczali, iż oddał syna napowrót do kowala w naukę, pozwalając temu ostatniemu robić z synem, co mu się podoba, byle go tylko rzemiosła nauczył bo poznał, że śmiesznem jest myśleć, aby ktoś mógł się przez patrzeć samo czegoś nauczyć. „Pieczone gołąbki, nie przyjdą same do gąbki.“

OSOBLIWSZY OGRÓD.



Był raz wielki król. Codzień przychodzili doń ludzie, a przybywało ich tylu i tylu chciało go widzieć i z nim mówić, iż król zaledwie godzinę mógł być sam. Król ów lubiał bardzo samotność i gniewał się, gdy mu przeszkadzano. Przeto na środku wielkiej łąki kazał sobie zbudować pałac i na około niego założyć ogród, w którym wiele prowadziło ścieżek i dróg krętych ogrodzonych żywym płotem. Naokoło ogrodu zbudował wielki mur, w którym jeden tylko był otwór. Drogi prowadziły wzdłuż i poprzek, a obcy

ludzie, którzy do ogrodu weszli, nieraz całymi godzinami błądzili, nie mogąc znaleźć zamku i ostatecznie wrócili do bramy, którą weszli. Osobliwszy ten ogród wyglądał tak jak zamieszczony rysunek; czarne linie to płoty, na środku leży zamek a w jednym rogu wejście do ogrodu. Na tablicy umieszczonej nad bramą taki jest napis: „Surów jest zakazanem przeskakiwać lub przełamywać płot.“ Spróbuj i ty, czy potrafisz dotrzeć do zamku, lecz pamiętaj, żebyś przez płot nie przeskoczył, tylko drogą otwartą szedł.

Księgarnia "Gazety Katolickiej"

J. F. SMULSKI & CO

565 Noble Str., Chicago, Ill.

poleca Szan. Rodzom następujące książki powieściowe po cenach bardzo umiarkowanych.

- Czczołka.** Powieść staro-szlachecka przez nie żyjącego już autora polskiego, opisuje losy dwójga narzeczonych sierot, których źli ludzie dla złości, ambicji i zawiści rozłączyli na zawsze chcieli, a którzy pomimo to zdołali przetrwać, żyć przeszkody — i połączyć się. Z powiastki tej można się dowiedzieć, jakie były obyczaje naszych przodków..... 20c
- Dwadzieścia tysięcy mil żeglugi podmorskiej.** Kto ciekaw przygód żeglarskich, tajemnic świata podmorskiego, rzeczy niezwykłych i fantastycznych, niech przeczyta tę niesłychanie zajmującą powieść. Opisuje ona podróż podmorską, odbytą przez tajemniczy okręt podwodny niejakiego kapitana Nemo. Zrobił on tak 20,000 mil w głębi Oceanu. Jestto tylko fantazja, ale oparta na faktach naukowych. Zobaczycie zresztą: niezadługo może takie podwodne okręty będą pływały po morzach i oceanach..... 50c
- Kłopoty Chińczyka w Chinach.** Chiny są krajem bardzo ciekawym, bo mało zbadanym i mało dotąd znanym Europejczykom. Autor tej powieści, znany ze swej znajomości różnych krajów świata, opisuje w niej wesołe i dramatyczne przygody Europejczyków i Chińczyków w tej dalekiej krainie. Książka ta mocno zaciekawia, — a niejednego może wiele nowego nauczyć..... 30c
- Kosynierzy, 2 tomy.** Powieść ta dwutomowa (ozdobiona licznymi obrazkami), godną jest uwagi. Cudzoziemiec, Francuz, opisał w niej różne wypadki z powstania 1863 z taką miłością serdeczną dla nas, jak gdyby był sam Polakiem. 80c
- Po r. 1830.** W książce tej napisanej przez naszego niezapomnianego Kraszewskiego, znajdujemy opis słynnej "Nocy listopadowej", kiedy w Warszawie wybuchło powstanie 1830. Po upadku powstania ojciec i syn, bohaterowie tej książki, idą na emigrację do Paryża i tam pracują w czola pocie. Syn umiera a ojciec wraca do Polski — i wpada w ręce wrogów. Los męczenników za Polskę odmalowany tutaj tak, że płakać się chce nad nim łzami krwawymi..... 35c
- Przygody Pana Marka Hińcy.** Autorem tej książki jest nasz niezapomniany Kraszewski. Daje on w niej obraz szlacheckiego społeczeństwa polskiego z zeszłego stulecia. Bohater książki Marek Hińca, przeszedłszy przez różne wesołe i dziwne przygody, z bosego sieroty zostaje panem całą gębą i mężem córki magnata. Warto to przeczytać..... 35c
- Szary Proch.** Jedna z najzdolniejszych, współczesnych powieściopisarek polskich p. Marya Rodziewiczówna odtwarza w tej powieści wzruszające dzieje Żmudzina, który po latach nieobecności w kraju, zyskawszy sobie między innymi stanowisko, majątek i narzeczoną, powraca do wsi rodzinnej, ażeby się raz jeszcze zobaczyć ze swoimi. Tu otoczenie rodzinne tak przemawia mu do serca, tak go pociąga całą siłą, że porzuca świetną przyszłość i karierę — i pozostaje między swoimi, z miłości dla nich, na zawsze. 30c
- Szkaplerz Matki.** Jestto powieść bardzo piękna, moralna i religijna napisana przez Polaka, autora w Chicago zamieszkałego. Wykazuje on, jak wielką jest potęgą prawdziwej wiary — i jak szanować trzeba pamiątki religijne. Rzecz dzieje się w zaborze pruskim w Europie. Przejścia tej powieści są bardzo zaciekawiające..... 25c
- Historia Polska w pięknych przykładach przedstawiona, czyli zbiór wzorów dzielności, pracy, nauki i poświęcenia dla kraju, jakimi się nasi przodkowie odznaczyli.** Dla pouczenia i rozrywki ludu polskiego i młodzieży zestawil Józef Chociszewski. Książka ta powinna znajdować się w każdym domu polskim. Str. 175, w gustownej oprawie 40c
- Sowizdrzał i awantury jego z licznymi ilustracjami** 25c
- Robert Djabel, straszna, ale też zabawna i pouczająca powiastka z przeszłości** 20c
- Rybak, duch i król czarnych wysp, ciekawa bajka** 20c
- Robinson Kruzoe, książka dla nauki i zabawy** 30c
- Powiastka o Wietrze, napisała dla młodzieży E-liszka Krasnohorska, z rycinami.....** 30c
- Opowiadanie o zbójcach, strachach, czarach i zaklętych skarbach, z obrazkami J. Chociszewski,** 30c
- Lampa Czarodziejska, czyli przygody Aladyna...** 1.25
- Krawiec Czarnoksiężnik, ciekawe opowiadanie** 25c
- Kasper Pokraka. Sowizdrzał Polski. Żywot największego figlarza, jaki żył na świecie, spisał X. Fr. Tuczyński** 50c
- Jan Okpiświat, zwany także Sowizdrzałem, słynny trefniś, jego figle i awantury, z obrazkami** 25c
- Humorysta Polski. Zbiór wesołych opowiadań powiastek, wierszy, dowcipów, figli i żartów, spisał Józef Chociszewski** 25c
- Historia o Alim-Babie i 40 zbójcach zgładzonych ze świata przez jedną niewolnicę** 20c
- O strachach, kilka ciekawych opowiadań ku nauce i rozrywce z obrazkami, zebrał Jan Tworzymir** 25c
- Czarnoksiężnik Bosco, czyli bogaty zbiór najciekawszych sztuk magicznych i kuglarskich do wykonania łatwo i tanim kosztem z ilustracjami** 25c
- Czarnoksiężnik Twardowski, powieść z podań ludowych** 25c
- Toast Polski, wierszem i prozą, czyli zbiór mów przy uroczystościach wszelkiego rodzaju, jako to: przy weselach, ważniejszych zebraniach, przyobchodach rodzinnych, jubileuszowych itp. w oprawie** 50c
- Poezye różnych autorów, zebrane i ułożone do uczenia się na pamięć dla dzieci** 30c
- Powinśzowania, czyli zbiór krótkich wierszyków na imieniny rodziców i innych drogich osób itd. w oprawie.** 25c
- Śpiewnik Polski, zawierający historyczne i patriotyczne pieśni, w oprawie.....** 40c